

ANNA
KANTOCH

SAMOTNIA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Kańtoch

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

NAGRANIE I

Ostatnim widokiem, jaki w życiu zobaczyłem i zapamiętałem, były szarpane wiatrem gałęzie gruzłowatej wierzby, która rośnie w naszym ogrodzie, przytulona do muru pozostałego po dawnych zabudowaniach. Pod nią leżała łacha brudnego śniegu, resztki dziennego światła z mozołem przedzierały się przez ciemny wał deszczowych chmur. Chciałbym pamiętać coś innego: fioletowe od lawendy pola Prowansji, lazur włoskiego morza, twarz mojej żony – którejkolwiek z żon. Ale mam właśnie ten już nie zimowy, a jeszcze nie wiosenny krajobraz, ołowianą szarość marcowego dnia, ozłoconą odrobiną słońca w kwaśnym kolorze cytryny.

Wtedy, na samym początku miesiąca, doniesienia o covidzie wciąż były egzotyczną ciekawostką z dalekiego kraju i chyba nikt nie wierzył, że wirus dotrze w końcu i do nas. Przynajmniej nie wierzyłem w to ja. Pierwsze uderzenie pandemii przespałem w szpitalu, a gdy odzyskałem przytomność, nad moją głową krążyły strzępy rozmów podobne do zbłąkanych papierowych samolocików: zamknięte szkoły, lockdown, rosnąca liczba zachorowań, ludzie w panice wykupujący papier toaletowy.

Otumaniony lekami mózg zareagował, produkując obrazy rodem z *The Walking Dead*: oto budzę się po długiej chorobie w opustoszałym szpitalu, wychodzę na ulicę i staję oko w oko z hordą żądnych krwi zombie. Gdy rzucałem się na łóżku,

wślizgując się z jednego koszmaru i wślizgując w drugi, ktoś trzymał moją rękę; kobieca dłoń łagodnie, lecz stanowczo zawracała mnie w stronę realności. Nie miałem pojęcia, do kogo należy, a jednocześnie czułem, że głupio byłoby zapytać. Matka? Dziewczyna, może żona? Moja pamięć przypominała wirujący w blenderze koktajl, wspomnienia wynurzały się na powierzchnię i zaraz znikwały, a ja nie potrafiłem poskładać z nich niczego sensownego. Będzie padać, mówi młodzieńka blondynka, dotykając mojego ramienia; nie rozpoznaję jej twarzy, choć wiem, że powinienem. Wakacje nad morzem, dzień rozdania świadectw maturalnych, studencka impreza z mnóstwem piwa i zbyt głośną muzyką, ja na scenie, mówiący do zgromadzonej w półmroku publiczności. W pewnym momencie zdało mi się, że wreszcie wszystko sobie przypomniałem: pojechałem na ferie zimowe do Białki Tatrzańskiej i miałem wypadek na nartach, nic poważnego, po prostu przez parę tygodni będę musiał nosić gips. Ominie mnie klasówka z fizyki, pomyślałem i chciałem już przekazać tę radosną wieść siedzącej przy łóżku matce, kiedy uświadomiłem sobie, że gimnazjaliści rzadko bywają na studenckich imprezach i jeszcze rzadziej uprawiają na biurku seks z brunetkami wyglądającymi plus minus na trzydzieści lat – bo to też widziałem we wspomnieniach. Od czasu do czasu głos w ciemności zadawał mi natarczywe pytania: „Czy pan wie, jak pan się nazywa? Czy pan wie, co się stało? Co pana boli?”. A ja, w zależności od bardzo wielu czynników, milczałem, bełkotałem: „Spadaj” albo starałem się odpowiadać. Miałem przy tym wrażenie, że znalazłem się nagle w sytuacji człowieka, który pozbawiony prawej ręki, lewą rzuca strzałkami do tarczy. Czasem udawało mi się trafić, częściej nie. W końcu jednak zdołałem sformułować odpowiedzi, którymi mówiący do mnie bezcielesny głos zdawał się w miarę usatysfakcjonowany.

Nazywam się Leon Cichy, niedawno skończyłem trzydzieści cztery lata. Miałem wypadek. Bolało mnie wszystko, a przede wszystkim panikowałem, bo niczego nie widziałem. Uniósłem rękę do oczu i dotknąłem czegoś, co bez zdziwienia zidentyfikowałem jako opatrunek.

– Kiedy zdejmiecie mi bandażę? – zapytałem.

Bezciesny męski głos odparł: „Wkrótce” tonem, który niezupełnie mi się spodobał, zaś tajemnicza kobieta ścisnęła moją rękę i powiedziała: „Wszystko będzie dobrze”, co spodobało mi się zdecydowanie bardziej. Mimo to musiałem spytać:

– Kim jesteś?

Zapadło milczenie i kiedy doszedłem już do wniosku, że popełniłem naprawdę poważne faux pas, kobieta odparła bez cienia urazy:

– Twoją żoną oczywiście.

– Jasne, Ala. Od Aliny, nie Alicji. – Tak bardzo chciałem się pochwalić, że wreszcie coś pamiętam, że nie jest ze mną wcale tak źle.

Usłużna pamięć podsunęła twarz ładnej brunetki – tej, którą posuwałem na biurku. Moja szkolna miłość, pierwsza poważna randka w wieku piętnastu lat, ślub zaraz po studiach, jedno mieszkanie, potem drugie, wreszcie zakup domu...

Zanim jednak poskładałem wszystko do końca, niezręczna cisza podpowiedziała mi, że tym razem naprawdę palnąłem głupstwo.

– Julia, twoja druga żona. Z Aliną rozwiodłeś się w zeszłym roku. – Nawet wtedy w jej głosie nie słyhać było pretensji.

Gdy tylko wspomniała o rozwodzie, wszystko sobie przypomniałem. I wiedziałem już, kim jest Julia. Moja pamięć z każdą chwilą wydawała się działać sprawniej, niczym samochód, w którym wreszcie zaskoczył silnik, i to przyniosło mi odrobinę ulgi. Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Julia, pewnie. Przepraszam...

– Nic się nie stało. – Chłodne usta musnęły mój policzek. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Wtedy jej uwierzyłem. Dopiero następnego dnia lekarz, którego nazwiska nie potrafiłem zapamiętać – Wilczek? Wilczur? Wilczyński? – po serii badań poinformował mnie profesjonalnie współczującym głosem o skali urazów, jakich w trakcie wypadku doznało moje ciało. Miałem połamaną nogę i zwichnięty staw biodrowy, przede wszystkim jednak ucierpiała głowa. Poznałem wtedy takie terminy jak złamanie kości pokrywy czaszki z obrzękiem mózgu i nieodwracalne uszkodzenie nerwu czaszkowego II, w wyniku czego straciłem wzrok. W prawym oku całkowicie, lewe wciąż reaguje na światło. Oznacza to, że siedząc w pokoju, potrafię zlokalizować okno, jeśli akurat jest słoneczny dzień, a wieczorem znaleźć zapaloną lampę. I tyle. Ludzi widzę, tylko gdy staną na bardzo jasnym tle, a i wtedy jawią mi się jako złowrogie cienie pozbawione konkretnych konturów. O czymś takim jak rysy twarzy nawet nie ma co wspominać. Kierując się wielkością tych cieni, mógłbym pewnie odróżnić pięciolatka od dorosłego człowieka, ale na tym kończą się moje umiejętności. Tamtego dnia przestałem wierzyć w to, że „wszystko się ułoży”.

W to, że kobieta przedstawiająca się jako Julia naprawdę jest moją żoną, przestałem wierzyć półtora miesiąca później.

NAGRANIE 2

Gdy nagrywam te słowa, jest czerwiec, a ja siedzę na tarasie mojego domu. W upalnym powietrzu pachnie krzew jaśminowca zasadzony jeszcze przez Alę. Nie wiem, czy Julia o niego dba, czy może wszystko teraz w ogrodzie rośnie zdziczałe, spragnione wody, może bliskie śmierci. Na twarzy czuję chłodny podmuch, a jednocześnie gdzieś daleko, na zachodzie, słysząc pomruk nadciągającej burzy. Gdybym wciąż miał sprawne oczy, mógłbym zobaczyć falujący pod wpływem wiatru łan pszenicy rosnącej po drugiej stronie drogi. Jakby wielka ręka Boga głaskała łagodnie kłosa, przesuając się powoli i starannie wzdłuż pola.

Będzie padać, to właśnie powiedziała Julia tamtego dnia tuż po naszym powrocie z Włoch, a ja odwróciłem się i spojrzałem na ciemne niebo i gruzłową wierzbę. Moje ostatnie wspomnienie sprzed wypadku. Co stało się potem? Julia twierdzi, że nie zdarzyło się nic szczególnego, po prostu spędziliśmy miło wieczór i położyliśmy się spać. Obudziła się koło północy, zobaczyła, że łóżko po mojej stronie jest puste, zaniepokoiła się i poszła mnie szukać. Najpierw w domu, później w ogrodzie. W końcu, zdesperowana, wyszła na drogę i tam właśnie leżałem, skulony pod płotem niczym potrącony pies. Auto musiało uderzyć we mnie z prędkością co najmniej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, tak mówił policjant, który odwiedził mnie w szpitalu. Nie wiem, dlaczego wyszedłem z domu ani kto właściwie we

mnie wjechał, poza tym że samochód miał niebieski kolor, bo na miejscu wypadku znaleziono odpryski lakieru. Sprawca uciekł, a w mojej pamięci ziele czarna dziura. Co się działo w Samotni tamtego marcowego wieczoru? Co robiłem na drodze o tak późnej porze? I przede wszystkim gdzie się podziała prawdziwa Julia?

Lekarze twierdzą, że może kiedyś przypomnę sobie te brakujące kilka godzin. A może nie, trudno powiedzieć.

NAGRANIE 3

Zaczął padać, pakużykałem więc do domu. Do niedawna jeszcze chodziłem o kulach, teraz potrafię samodzielnie przejść ze dwadzieścia–trzydzieści metrów. Cóż za sukces. Umiem się także ubrać, skorzystać z ubikacji, wytrzeć sobie tyłek, podciągnąć spodnie i spuścić wodę. Radzę sobie niezłe z włączeniem radia – od czasu wypadku to moje jedyne źródło wiadomości, dzięki niemu wiem, że świata jeszcze nie opanowały hordy krwiożerczych zombie – a także z obsługiwaniem dyktafonu w komórce. Wiem, że są inne ważne umiejętności, których również mógłbym się nauczyć. Jak włączyć gaz tak, żeby nie poparzyć sobie palców, jak nalać wody mineralnej z butelki do szklanki, nie rozchlapując przy tym połowy na podłogę. Mógłbym też korzystać z syntetyzatora mowy, który czytałby mi najnowsze doniesienia o pandemii i wszystkie te obrzydliwe szczęśliwe posty moich znajomych – dawnych znajomych – korzystających z uroków lata mimo wciąż obowiązujących covidowych obostrzeń. W szpitalu bezcielesny głos, przedstawiający się jako specjalista od czegoś tam, tłumaczył mi, że utrata wzroku to nie koniec, że osoba niewidoma może żyć pełnią życia. Nie wiem, co mu wtedy odpowiedziałem, prawdopodobnie nic grzecznego. Gdy wróciłem do domu, Julia wspomniała o instruktorce czynności codziennych, którego pomoc mi przysługuje, ale kiedy przypomniałem jej o tym tydzień czy dwa później, oznajmiła, że z powodu pandemii nic

nie da się teraz załatwić: ani w Polskim Związku Niewidomych, ani w ośrodku pomocy społecznej. Nie nalegałem. Jaki jest sens uczyć się, jak żyć „pełnią życia”, gdy wejście pod prysznic przypomina wyprawę na Kilimandżaro?

NAGRANIE 4

Z przedpokoju dobiegło skrzypnięcie podłogi. Zamarłem, nadsztawiając uszu, ale słyszałem już tylko krople deszczu bębniące o szybę. Julia wyjechała rano, podobno na zakupy, a kiedy jej nie ma, w pustym domu każdy, nawet najcichszy dźwięk sprawia, że moje serce podskakuje jak obłąkany królik. To dziwne, bo jednocześnie wcale nie chcę, żeby była w domu. Nie czuję się swobodnie z jej cierpliwą obecnością, z pomocnymi rękami, które jeszcze niedawno ubierały mnie i kładły do łóżka, jakbym miał pięć lat, z tym że nie wiem, kim ona jest ani dlaczego właściwie ze mną mieszka. Ale nie chcę też być sam. Od czasu wypadku wciąż się boję. Wyobrażam sobie, że kierowca niebieskiego auta zakradnie się w otaczającej mnie ciemności i dokończy to, co zaczął nocą na drodze. Nie takie rzeczy wymyślałem w książkach. Napisałem ich siedem, pierwsza sprzedała się całkiem nieźle jak na dzieło debiutanta, pozostałe były już bestsellerami. Dwie doczekały się nawet ekranizacji.

Nikt lepiej ode mnie nie wie, że czasem wyobrażnia to przekleństwo.

Drobny, miękki kształt otarł się o moje nogi, a ja drgnąłem nerwowo. Kot miauknął, gdy schyliłem się, aby go pogłaskać. Puszek albo Puszkina. Jeden biały w czarne łaty, drugi czarny w białe, jeśli wierzyć Julii, oczywiście. Przyplątały się jakieś dwa tygodnie temu i już zostały. Czasem zastanawiam się, skąd przyszły. Nasz

dom znajduje się co prawda teoretycznie w granicach Samborowiczek, ale od centrum wsi dzieli nas dobre półtora kilometra. Wokół nie ma nic oprócz pól jęczmienia i pszenicy, niewielkiego zagajnika i mających na horyzoncie wzgórz. Dlatego nazwaliśmy go Samotnią, ja i Ala. Jednak zagadka niespodziewanego pojawienia się dwóch łaciatych kotów to mój najmniejszy problem.

Mam inne, znacznie ważniejsze.

NAGRANIE 5

Zastanawiam się, jaki był początek całej tej historii. Gdzie popełniłem błąd, jaka decyzja pchnęła mnie na ścieżkę, z której nie mogę już zawrócić. Powinienem to wiedzieć, prawda? Jestem w końcu pisarzem. Ale nie wiem. Za każdym razem, gdy o tym myślę, z jakiegoś powodu wracam do chwili, gdy Ala powiedziała, że chce się rozwieść. Tak jakby tamten moment przerwał pasmo mojego szczęścia. Bo prawda wygląda tak, że zawsze byłem szczęściarzem. Jak na pisarza kryminalistów miałem aż nieprzyzwoicie pogodne dzieciństwo: żadnych traum czy ciężkich chorób, najpoważniejszym wypadkiem był ten na nartach w Białce Tatrzańskiej, kiedy złamałem nogę, która zresztą zrosła się szybko i bez problemów. Dzięki kombinacji dobrej pamięci, inteligencji i uroku osobistego łatwo przechodziłem z klasy do klasy, maturę zdałem bez stresu i zarywania nocy nad podręcznikami, równie łatwo dostałem się na studia dziennikarskie, których – w przeciwieństwie do wielu moich kolegów i koleżanek – nigdy nie musiałem łączyć z pracą. Moi rodzice nie są może milionerami, ale pieniędzy nam nie brakowało, jestem zresztą jedynakiem, nie musiałem się więc z nikim dzielić. A kiedy pod koniec studiów napisałem powieść, znalazłem wydawcę w rekordowe trzy miesiące. Rok później zająłem się na poważnie pisaniem, wziąłem ślub z dziewczyną, z którą chodziłem od czasów gimnazjum, a ona zaczęła pracę we wrocławskim banku. Okres mło-

dzieńczej namiętności mieliśmy już za sobą, ale zawsze dobrze się rozumieliśmy. Może to właśnie był ten błąd, który zapoczątkował wszystko, nie wiem. Może ślub powinno się brać tylko z wielkiej miłości. Ja się ożeniłem, ponieważ wszyscy tego oczekiwali, a zawsze byłem w pewnym stopniu oportunistą: nie walczyłem z życiem, nie miałem wielkich planów, po prostu chwytałem okazje i pozwalałem się nieść fali, wierząc, że zanieśie mnie ona tam, gdzie powinienem się znaleźć. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że nawet jeśli nie kochałem Ali wielką miłością, to zawsze uważałem ją za przyjaciółkę i – co prawdopodobnie było z mojej strony mocno egoistyczne – wierzyłem, że ona kocha mnie bardziej niż ja ją. Dlatego tamta rozmowa była dla mnie takim szokiem. To ja myślałem o rozwodzie. Niezbyt poważnie, w gruncie rzeczy były to tylko fantazje trzydziestolatka, który co prawda jest szczęśliwy, ale jednocześnie na wpełń świadomie uważa, że mógłby być szczęśliwy jeszcze bardziej, że może zasłużył na więcej. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek się na to zdobył. Ala miała odwagę, której mnie brakowało.

– To nie ma sensu – zaczęła tamtego wieczoru w naszym wrocławskim mieszkaniu, po wszystkich znaczących „Musimy poważnie porozmawiać” i „Mam ci do powiedzenia coś ważnego, usiądź i posłuchaj uważnie”, które powinny mnie ostrzec, ale z jakiegoś powodu zupełnie nie ostrzegły. Ucieszyłem się nawet, bo myślałem, że zaszła w ciążę. Staraliśmy się o dziecko od dwóch lat, lekarze zapewniali, że wszystko z nami w porządku i mamy po prostu czekać. Czekaliśmy więc, Ala niecierpliwie, ja z odrobiną ulgi, że to jeszcze nie teraz, lecz gdy zaprowadziła mnie do pokoju i z poważną miną posadziła w fotelu, naprawdę byłem gotów świętować wraz z nią. A ona powiedziała: „To nie ma sensu”.

To.

Nasz związek. Prawie dwadzieścia lat razem wyrzuconych przez okno w jednym zdaniu.

– O czym ty mówisz? – zapytałem. Lewa noga zaczęła mi drgać, moje ciało zawsze było szybsze od mózgu. Ono już wiedziało, że stało się coś nieodwracalnego. Ja wciąż jeszcze się łudziłem, że to jakaś pomyłka, może dziwaczny żart. Czułem się, jakby ktoś włożył mi dłoń w brzuch i wyszarpnął garść wnętrzności. Jeszcze nie bolało, na razie po prostu byłem oszołomiony.

– Mówię, że nasze małżeństwo nie ma sensu – powtórzyła cierpliwie. – Było nam ze sobą dobrze, ale to już przeszłość. Naprawdę możesz powiedzieć z ręką na sercu, że wciąż mnie kochasz?

Przegapiłem szansę, żeby potwierdzić: tak, oczywiście. Gdybym wtedy się odezwał, nie wypadłoby to naturalnie. Ala parsknęła śmiechem, który bardziej przypominał płacz.

– Widzisz? Nic już nas nie łączy...

– Bzdura. A dom, nasze marzenia o trójce dzieci? Wymyśliliśmy nawet dla nich imiona, nie pamiętasz? Moja rodzina... – bełkotałem, czując, jak od dziury w brzuchu rozpełza się lodowaty lęk. Ala mówiła serio.

– Twoja rodzina nie będzie zadowolona, wiem. – Zdobyła się na coś, co od biedy można uznać za uśmiech. Moi rodzice traktowali Alę jak córkę, znali ją w końcu, odkąd była dziewczynką zbierającą figurki z jajek niespodzianek. – Zwłaszcza mama, ona jest przecież bardzo wierząca. Ale musimy to zrobić. Ja zostanę tutaj, a ty zatrzymasz Samotnię. I tak włożyłeś w nią więcej niż ja.

– Porozmawiamy o tym jutro, w porządku? Kiedy się uspokoisz.

– Jestem spokojna.

– Nieprawda. Nie myślisz jasno. Jutro...

– Nie zmienię zdania.

– Chodź tutaj. – Objąłem ją. Kiedy byliśmy młodszy, większość naszych kłótni kończyła się w łóżku. Teraz też z jakiegoś powodu ubzdurałem sobie, że jeśli namówię ją na seks, wszystko wróci do normy.

– Nie. – Próbowaliśmy się wyrwać, ale trzymałem mocno.

– Będzie dobrze – mruczałem w jej włosy, jednocześnie błądząc rękami po pośladkach. Przez krótką chwilę sądziłem, że wygraliśmy, będziemy się kochać, a potem nigdy już nie wspomniemy o rozwodzie, ale ona odepchnęła mnie mocno, aż uderzyłem tyłkiem o szafkę. Była prawie tak wysoka jak ja, wysportowana, prawdę powiedziawszy, chyba nawet silniejsza ode mnie.

– Powiedziałam „nie”.

– Masz kogoś. – Spłynęło na mnie olśnienie. Przez ostatnie dwa tygodnie Ala była dziwnie milcząca i wycofana. Nie zwracałem na to zbyt uwagi, sądziłem, że może ma kłopoty w pracy albo martwi ją problem z zajściem w ciążę. Teraz wszystko nabrało sensu.

Milczała odrobinę za długo, jak ja przed chwilą.

– Tak – powiedziała wreszcie. – Poznałam... pewnego mężczyznę.

– Kim on jest?

– Jakie to ma znaczenie? Proszę, możemy przecież rozstać się jak przyjaciele.

Zabolało, bo to był mój tekst. To ja, w tych nielicznych chwilach, gdy fantazjowałem o rozwodzie, zamierzałem powiedzieć coś podobnego.

Rozmawialiśmy do późna, kręcąc się w kółko jak dziecięce bączki. Ja naciskałem, miałem pretensje, momentami chyba nawet krzyczałem. Ala potrząsała uparcie głową, coraz bardziej zmęczona, ale nieustępliwa. Na zmianę miałem ochotę ją przytulić, to znów uderzyć, chwycić za włosy i szarpać, zobaczyć zdu-

mienie i ból na jej twarzy. Przeraziły mnie te myśli. Nigdy nie uważałem się za brutala.

– Chodźmy spać – zaproponowałem, bojąc się, że zrobię coś, czego będę żałował do końca życia. – A rano...

– Rano nic się nie zmieni. Mówiłam ci.

Znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Patrzyliśmy na siebie jak dwaj bokserzy, dyszący w przeciwległych narożnikach ringu.

– Poza tym i tak teraz nie zasnę – dodała. – Nie tutaj. – Prawie usłyszałem, jak mruczy: „Nie z tobą?”. – Zrobimy tak: pojedę do mojej matki i zostanę u niej parę dni, a ty wyprowadzisz się do soboty.

– Dlaczego ja mam się wyprowadzić? – Wszystko buntowało się we mnie na myśl, że miałbym omawiać z nią warunki rozstania, bo to czyniło je realnym, sprowadzało rozwód z poziomu propozycji na poziom czegoś, co już właściwie zaczęło się dziać. Jeszcze przed chwilą chciałem przerwać naszą rozmowę, teraz zrobiłbym wszystko, by do niej wrócić, by znowu kręcić się w kółko, nie dochodząc do żadnych sensownych wniosków.

– Bo ja zostawiam ci Samotnię, pamiętasz?

Mimo szczerych chęci nie znalazłem na to odpowiedzi. Patrzyłem więc bezradnie, jak Ala pakuje walizkę i wychodzi. Padał deszcz, prawdziwa jesienna ulewa, choć był dopiero początek września i formalnie wciąż trwało lato. Pomyślałem, że weźmie samochód – ponieważ ja pracowałem w domu, mieliśmy tylko jeden – ale ona poszła w stronę przystanku, skąd odjeżdżały nocne autobusy. Przez moment miałem zamiar wybiec za nią i zaproponować, żeby zabrała naszego fordą focusa. Przez moment szczerze wierzyłem, że jeśli to zrobię, Ala przekona się, jakiego fajnego faceta zamierza porzucić, wróci do domu i wszystko będzie jak zawsze.

Ale nie ruszyłem się z miejsca. Już wtedy w głębi duszy wiedziałem, że pewnych rzeczy nie da się naprawić.

NAGRANIE 6

Julia zjawiała się, gdy deszcz przestał padać, a dzień powoli zmierzzał ku końcowi. Potrafię to wyczuć: do mojego lewego oka dociera mniej światła, wieczorny chłód unosi delikatne włoski na przedramionach, a kwiaty i zioła w ogrodzie pachną inaczej, bardziej intensywnie, tak jak pachniały dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Zdążyłem do tego czasu porządnie zgłodnieć i nawet zastanawiałem się, co zrobię, jeśli Julia nigdy nie wróci. Półtora kilometra dzielące mnie od centrum wsi to żaden dystans dla zdrowego, sprawnego człowieka. Dla mnie równie dobrze mogłoby to być dziesięć kilometrów albo i czterdzieści. Gdybym chciał się wydostać z Samotni, musiałbym wyjść na drogę i machając rękami, zatrzymywać przejeżdżające auta. A na samą myśl, że miałbym stać na poboczu, słysząc ryk silnika zbliżającego się samochodu, robi mi się niedobrze – i nie jest to żadna pisarska metafora, tylko brzydka życiowa prawda, o jakiej rzadko pisze się w książkach.

Na szczęście Julia wróciła. Zawsze wraca, prędzej czy później. Podeszła do mnie i pocałowała zdawkowo w policzek, a ja poczułem woń dymnych perfum. Między innymi to ją zdradziło. Julia, którą poznałem w Bari i poślubiłem po dwóch miesiącach w konsulacie polskim w Mediolanie, pachniała kwiatami jaśminu.

– Zaraz zrobię obiad. Przepraszam, że zakupy zajęły mi tyle czasu.

Pół godziny później, gdy w całym domu rozchodził się smaczkowity zapach sosu grzybowego, pomogła mi usiąść za stołem. Jej silne dłonie zdają się znać moje ciało lepiej niż ja sam, wiedzą, jak prowadzić mnie w stronę celu, tak żebym nie potknął się o róg dywanu, i jak sadzać, żeby nie urazić wciąż pobolewającego biodra. Kolejny niezgadający się szczegół. Prawdziwa Julia miała miękkie, dziewczęce łapki, które przysiadły na moim ciele, a potem podrywały się nagle niczym spłoszone motyle. W dotyku kobiety, która mieszka ze mną, jest coś profesjonalnego, co przywołuje na myśl pielęgniarkę. „Kim jesteś?” – miałem ochotę zapytać, ale przecież już to zrobiłem, a ona zapewniła mnie, że jest Julią, moją drugą żoną. Udaję, że jej wierzę, bo jakie mam inne wyjście? Członkowie mojej rodziny nigdy nie widzieli prawdziwej Julii. Gdybym powiedział im o swoim odkryciu, uznaliby, że wciąż nie doszedłem do siebie po wypadku i dlatego wszystko mi się miesza.

Potrzebuję twardych dowodów, nie czegoś tak ulotnego jak zapach czy dotyk rąk, ale kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, moje myśli znów uciekają w przeszłość.

NAGRANIE 7

Gdyby istniała nagroda za najbardziej kulturalny rozwód, ja i Ala bylibyśmy pewnymi kandydatami na zwycięzców. Rozstaliśmy się przy minimum zamieszania i w rekordowym tempie czterech miesięcy. Masz szczęście, powiedział mój kuzyn Piotrek, który rozwodził się przez dwa lata, a przez kolejne dwa chodził na terapię. Zorientował się zaraz, jak to zabrzmiało, widziałem po jego minie, nie uznał jednak za stosowne przeprosić.

Nie czułem się szczęściarzem. Powieść, którą dawno powinienem skończyć, czekała rozgrzebana na dysku, a ja spędzałem dni, wymieniając uprzejme esemesy z moją już wkrótce byłą żoną. „Możesz zabrać kolekcję płyt, zostaw mi tylko Pink Floyd?” „OK”. „Znalazłam pudło ze starymi rachunkami, potrzebujesz ich czy mam wywalić?” Oboje zgodnie unikaliśmy spotkań twarzą w twarz dłuższych niż chwila potrzebna, żeby przekazać w drzwiach paczkę. Wiedziałem, że jeśli zaczniemy rozmawiać, cały mój pozorny spokój trafi szlag. Nie wiem, czy cierpiałem z miłości, czy po prostu bolała mnie urażona duma. Bywały dni, gdy szczerze wierzyłem, że rozwód wyjdzie mi na dobre, odblokuje mój ukryty potencjał, pozwoli rozwinąć skrzydła i co tam jeszcze, znacznie więcej jednak było takich, gdy całymi godzinami gapiłem się w komórkę, walcząc z pragnieniem zadzwonienia do Ali choćby tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. Założyłem konto na Tinderze, po czym niemal natychmiast je

skasowałem. Zacząłem pisać dwie nowe powieści – jedna miała być obyczajówką o rozwodniku, który w górach odnajduje sens życia, druga krwawym horrorem o mordujących się nawzajem pracownikach bankowych. Obie po kilku akapitach uznałem za absolutnie idiotyczne. Wstawałem rano i biegałem w głębokim przekonaniu, że to pierwszy dzień mojego nowego, lepszego życia. Wieczorem wywalałem do śmieci zdrowy, zbilansowany posiłek, smażyłem frytki z pomarszczonych ziemniaków, które znalazłem w szafce, i użalałem się nad sobą, pijąc wino, jakbym był postacią z wiejskiego serialu. I co najgorsze, zostałem z tym wszystkim sam. Rodziny celowo unikałem. Męczyło mnie ciągłe dopytywanie, co się stało i czy nie dałoby się jakoś naprawić moich stosunków z Alą, jakby małżeństwo było parą butów, które można zanieść do szewca. Irytowały lamenty ciotek, bo przecież tak bardzo do siebie pasowaliśmy – nienawidziłem współczucia podszytego słabo zawołowanym przekonaniem, że jeśli związek się rozpada, to obie strony zawsze są choć trochę winne. To Ala znalazła sobie kochanka, nie ja, wygarnąłem w pewnym momencie matce, ale ona potrząsnęła tylko głową, wciąż nieprzekonana. Straciłem też najbliższych kumpli, poniekąd z własnej winy. Tych, którzy jeszcze do niedawna byli znajomymi moimi oraz Ali. Wszyscy mieli angażującą pracę, większość też małe dzieci, a teraz nagle musieli dzielić nieliczne wolne chwile pomiędzy dwie osoby, które nie chciały już więcej się widywać. Powodowany masochistyczną dumą – a może po prostu potrzebą dobicia się jeszcze bardziej – coraz częściej odmawiałem, gdy zapraszali na piwo albo weekendowy wypad w góry. W październiku jeszcze się odzywali, w grudniu mogłem już tylko przeglądać na Facebooku czy Instagramie zdjęcia byłych kumpli i byłej żony miło spędzających czas beze mnie. Co zaskakujące, na żadnym z tych zdjęć nie znalazłem tajemniczego faceta Ali. Rozstali się? On był

żonaty i nie chciał się afiszować? Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Próbowałem podpytać tych znajomych, z którymi od czasu do czasu jeszcze utrzymywałem kontakt, jednak o niczym nie wiedzieli. Albo wiedzieli, ale mnie okłamywali. Przed świętami miałem już taką obsesję, że zdarzało mi się spędzać całe noce w samochodzie zaparkowanym przed mieszkaniem Ali – naszym dawnym mieszkaniem. Chciałem zobaczyć mojego rywala. Nie fantazjowałem o daniu mu w zęby, nic z tych rzeczy. Po prostu chciałem na niego spojrzeć. Nie wiem po co. Czy byłbym szczęśliwszy, gdybym się przekonał, że człowiek, który zastąpił mnie w łóżku Ali, jest cherlawym i łysiejącym okularnikiem? Albo odwrotnie, gdyby okazało się, że to jasnowłosy ideał w stylu Roberta Pattinsona? Nie mam pojęcia. Tak czy inaczej nikogo nie zobaczyłem – zawsze wracała do domu sama.

– Okłamała mnie – powiedziałem odkrywczu do Piotrka, jedynego członka rodziny, z którym wciąż chętnie się spotykałem. Był kilka lat starszy, więc w dzieciństwie nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, ale kiedy dorośliśmy, okazało się, że mimo różnic dogadujemy się zaskakująco dobrze.

– I co z tego?

– Nic. Jeśli nie ma żadnego faceta, chciałbym wiedzieć, dlaczego w takim razie mnie rzuciła.

Piotrek dołał mi whisky, którą ku jego dezaprobowaniu rozcieńczyłem colą. Po rozwodzie nie ożenił się ponownie, nie znalazł sobie nawet dziewczyny. Mieszka w kawalerce, a większą część pensji wydaje na drogie alkohole i skomplikowane wojenne gry planszowe, które mnie, niedzielnego gracza w *Carcassonne* i *Osadników z Catanu*, zawsze trochę przerażały. Z tego, co wiem, takie życie w zupełności mu odpowiada. Jeszcze do niedawna patrzyłem na niego z odrobiną wyższości. Teraz coraz częściej przysłapywałem się na tym, że zaczynam mu zazdrościć.

– Może miała dosyć tego małżeństwa i potrzebowała pretekstu, żeby się wymiksować. Może się w kimś zakochała, ale związek nie wypalił. Albo znalazła sobie dziewczynę i teraz obie się zastanawiają, kiedy wyjść z szafy. Naprawdę ma to znaczenie?

– Dla mnie ma.

– Czemu? Jeśli się okaże, że facet ją rzucił, będziesz chciał, żeby do ciebie wróciła?

Wiedziałem, że mnie podpuszcza, ale zastanowiłem się nad tym całkiem serio.

– Nie. Teraz to już nie miałyby sensu.

– W takim razie jaka to różnica, czy będziesz wiedział czy nie? Pomyśl lepiej, co ze świętami.

Skrzywiłem się, bo dobrze trafił. Moi krewni ze strony matki są dużą, zżytą ze sobą rodziną i święta zawsze spędzają razem. Z Alą czasem podśmiewaliśmy się z tej tradycji, ale w gruncie rzeczy nawet ją lubiliśmy. A przynajmniej ja lubiłem, co do Ali niczego już nie jestem pewien. W tym roku kolację wigilijną mieliśmy jeść jak zwykle u ciotki Tereski i wujka Władka – tylko ich dom jest wystarczająco duży, by pomieścić liczną familię Ochockich. Jeszcze na początku września wyobrażałem sobie, że podczas tej kolacji ogłosimy radosną wiadomość. Ala jest w ciąży, powiedziałbym gdzieś między pierogami a kutią. Wybuch radosnego entuzjazmu, pytania, kiedy termin, czy znamy już płć i czy wybraliśmy imię. Zarumieniona Ala popijająca kompot śliwkowy zamiast wina, radosne piski dzieciaków wyciągających prezenty spod choinki, wspólne śpiewanie kolęd coraz bardziej fałszującymi głosami i wreszcie, gdy będziemy już objedzeni po uszy i nieco bardziej niż trochę pijani, spacer na pasterkę, żeby przewietrzyć głowy. Nie jestem nawet wierzący, ale były w tej wizji ciepło i poczucie bezpieczeństwa, które mnie pociągały. Magia świąt z dzieciństwa. Teraz tamte marzenia wydawały mi

się naiwne, jakby snuł je niedojrzały chłopak, a na samą myśl, że miałbym siedzieć u ciotki Tereski, wdychając mulisty zapach smażonego karpia i patrząc na krzesło, które zawsze zajmowała Ala, czułem mdłości.

– Wyjedź. – Piotrek najwyraźniej odgadł, o czym myślę. – Ciotka i wujek pewnie się obrażą, ale za jakiś czas im przejdzie.

– Dokąd mam wyjechać? W góry? Nad morze? Mam przesiedzieć wigilię w hotelu, gapiąc się przez okno na łyse drzewa?

Pokręcił głową.

– Za granicę. Na przykład do Włoch. Kiedyś wspomniałeś, że chciałbyś tam pojechać. Teraz masz okazję.

Jeszcze głupszy pomysł, pomyślałem. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć to Piotrkowi, ale on mnie uprzedził.

– Przynajmniej nie będziesz musiał użerać się z tłumem spoconych turystów. Poza tym to będzie jakaś odmiana po urlopach spędzanych z Alą. Zasługujesz, żeby wreszcie wyjechać tam, gdzie ty chcesz, a nie tam, gdzie chce ona.

Zamknąłem usta. Ala jest fanką sportów zimowych, więc na wczasy jeździliśmy wczesną wiosną, gdy w Alpach wciąż leży śnieg, ale ceny są odrobinę niższe niż w styczniu czy lutym. Latem, jeśli gdzieś się wybieraliśmy, to tylko na północ. Sztokholm, Helsinki, ewentualnie Londyn. Moja była żona nie znosi upałów. Mnie jest wszystko jedno, w każdym miejscu potrafię znaleźć coś ciekawego i dobrze się bawić. Tak mówiłem każdemu, kto zapytał, czemu to Ala zawsze organizuje nasze wspólne wakacje. Jeszcze do niedawna szczerze w to wierzyłem, uważałem nawet, że ta łatwość aklimatyzacji jest cechą prawdziwego pisarza.

Teraz, zupełnie nagle, pomysł pojechania tam, gdzie Ala nigdy nie chciała jechać, wydał mi się nieodparcie pociągający.